MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 52. (51 skonfiskowany) WARSZAWA, 14 GRUDNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

KONFISKATA

Nr. 51 „Myśli Narodowej“ skonfiskowany został z rozporządzenia Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę z powodu artykułów: „Myśli nowoczesnego Polaka po wyborach“ Zofji Żółtowskiej - Dąbrowskiej oraz „Na marginesie poezji listopadowej“ Jana Zamorskiego.

Po usunięciu powyższych artykułów wydajemy z opóźnieniem **nr. 52.**

NARODZINY NOWOCZESNEJ IDEI NIEPODLEGŁOŚCI W POLSCE

(1733 — 1775)

ZAGADNIENIE: być czy nie być w rzędzie państw niepodległych? stawało przed Polakami trzykrotnie: w zaraniu dziejów, kiedy chodziło o niezależność od Św. Cesarstwa; po okresie podziałów, kiedy się łączyło ze sprawą zjednoczenia dzielnic oraz powrotu pod rządy piastowskie z pod hegemonji Czech; trzeci raz w XVIII, XIX i XX wieku bez przerwy, przy ogólnem nastawieniu odpornem wobec Rosji. W pierwszem stadjum sprawa sprowadza się do kwestji lennego lub tylko sojuszniczego stosunku władcy Polski do cesarza rzymskiego; w drugiem nierozbudzona jeszcze świadomość obywatelska kojarzyła niepodległość ze stosunkiem do narodowej dynastji; w ostatniem rzecz nabrała nierównie bardziej złożonego charakteru.

O wolność Polski jako dynastji i państwa walczył z Niemcami Bolesław Chrobry, dla tej wolno-

ści i on i jego ojciec dbali o to, by także duchowo, w sferze kultury Polak nie zależał zbytnio od Niemca. Niepodległość symbolizowała ceremonja gnieźnieńska, u grobu św. Wojciecha, potem ją oznaczały koronacje Bolesława I i Mieszka II. W imię świeckiej wolności Bolesław Śmiały nawiązywał bliski stosunek z Rzymem, nie lękając się zbytnio zawisłości moralnej od Głowy Kościoła. Zatracono suwerenność państwa po Krzywoustym, kiedy to Polska znalazła się w lennym stosunku do Cesarstwa, pozostając też pod opieką papiestwa. Restaurował ją Łokietek na tem trwalszej podstawie, że od końca XIII wieku naród nasz, zaznawszy pokojowej inwazji Niemiec, zdobywa mocną świadomość kulturalnej odrębności. Po unji z Litwą zagadnienie niepodległości, szczęśliwie, schodzi z porządku dziennego: o Polskę mocarstwową opierają swój byt, po części od niej się uzależniają narody ościenne. Również stosunek do Rzymu papieskiego staje się coraz mniej krępujący: jeżeli też młody Ostroróg na myśl o postawie papieża wobec Polski unosi się uczuciem obrażonej dumy narodowej, to trzeba w tem widzieć raczej odgłos husytyzmu, raczej odbicie chwilowych zadrażnień z doby Piusa II, nawet echo książkowych suggestyj, zaczerpniętych z Francuza Dubois, niż wyraz masowych uczuć ogółu polskiego. Wiek humanizmu i reformacji pogłębia w szlachcie samowiedzę narodową, ale nie rozbudza w niej bezpiecznie ukołysanej idei niepodległości.

Tymczasem nawet w okresie największego blasku było tu nad czem czuwać, gdyż pod majestat Rzplitej podchodziły wrogie podkopy. Walny akt samowładztwa szlacheckiego — obiór króla — krył nieraz pod pozorami wolności uległość wobec niebezpieczeństw. Czyż na elekcję Walezego nie wpływał wzgląd na Turcję, najgroźniejszą wówczas sąsiadkę naszego państwa? Czyż nie ten wzgląd zapewnił tron Batoremu? Czyż znaczna część Litwy nie z obawy przed Moskwą skłaniała się do Rurykowiczów? Chmielnicki nie próbował presji na korzyść Jana Kazimierza? Bywały, słowem, elekcje wolne, jak Zygmunta III lub Władysława IV i inne, dyktowane oportunizmem, więc z punktu widzenia niepodległości mniej wspaniałe. Zwłaszcza jednostronne nastawienie przeciwko Habsburgom pchało szlachtę w ramiona innych państw. Potem przyszła kolej na praktyki cudzoziemskie przed elekcjami, na jurgielty i stypulacje między obcym ambasadorem a polskim elektorem, mniej lub więcej patrjotyczne, uczciwe lub nieuczciwe, bądź co bądź — jak słusznie podkreślił Korzon — niepodległości uwłaczające. Szlachta odczuła głęboko tę ujmę, przynajmniej w tem jednem pokoleniu, które wywalczyło byt państwowy naprzekór Szwecji, Moskwie, kozakom, brandenburczykom i siedmiogrodzianom, dała też odczuć krętaczom senatorom, co sądzi o ich zobowiązaniach wobec zagranicy.

Ale ten sam podejrzliwy duch samoobrończy krył w sobie dwojakie niebezpieczeństwo dla przyszłych pokoleń. Po pierwsze utożsamiono interes Polski z sumą interesów poszczególnych obywateli, a jej wolność z sumą swobód, utwierdziwszy się zaś w tym poglądzie poczęto traktować każdego króla, zwłaszcza krwi cudzoziemskiej, jako przeciwnika Rzplitej, nie jako jej opiekuna i wyobraziciela. Rządy saskie zrobiły dużo, aby naród w tym przesądzie wychować. Powtóre, nie zrozumiano tej głębszej, dla wielu niezgłębionej prawdy, że wolność, zarówno jednostkowa, jak zbiorowa, oznacza przedewszystkiem zależność od woli własnej, a dopiero potem, w konsekwencji, niezawisłość od woli cudzej. Niepodległość narodowa, jakkolwiek ją prawnie, czy figuralnie nazwiemy: wolnością, majestatem, samowładnością, suwerenitetem, bywa tem pewniejsza, im silniej w niej tętni wewnętrzna moc twórcza, im więcej się na nią składa bogactwa myślącej i czującej duszy: to są jej źródła, jej istotne wiązania, kiedy lęk przed zagranicą lub pogarda dla obcych stanowią tylko jej zewnętrzną powłokę. Niepodległość buduje się od wewnątrz, a ochrania od zewnątrz. Trzeba mieć co kochać, aby dla tej miłości nieść życie na szaniec. Otóż szlachta naprzód zubożyła i osłabiła swoje zbiorowe „ja“ przez dogadzanie egoizmom pojedyńczym, potem jednostronnie dostrzegła niebezpieczeństwo raczej we własnym monarsze niż we władcach sąsiedzkich; wreszcie, gdy doszło do samoobrony, nie znalazła w swem wyjałowionem jestestwie sił potrzebnych do odparcia zamachu. Oto najistotniejsza treść tego procesu, który nas doprowadził do przedsionka Repnina, a którego przejawami były trzy elekcje: jedna po Sobieskim, skorrumpowana przez Niemców i sterroryzowana przez Moskwę, druga pogwałcona przez czarne orły w r. 1733, trzecia wprost narzucona przez Rosję w r. 1764.

Atoli, równolegle z tym procesem zamierania samowładności narodowej w jednych sferach i stosunkach, budzi się nań reakcja gdzieindziej. Takie fakty, jak wyniesienie na tron anty-króla Leszczyńskiego w r. 1704, pod szwedzkiemi muszkietami, reintronizacja Augusta, dokonana przez Piotra Wielkiego, kilkunastoletnia okupacja Polski przez carskie wojska, rozjemstwo Dołhorukiego w r. 1716, ciągła odtąd gospodarka rosyjskich posłów w Warszawie, ich wstawiennictwo za różnowiercami, stawiają przed oczyma szlachty pytanie: czy my, jako całość, jesteśmy jeszcze wolni, czy znaczymy cośkolwiek na świecie i do czego to wszystko zmierza? Czego nie dokonała przezorna polityka habsburska, to sprawił brutalny nacisk Rosjan: Polak zaczął odróżniać niepodległość narodową od swobody osobistej. Od samego też początku owa niepodległość konkretyzuje się w umysłach, jako przedewszystkiem obrona przed Rosją.

Przed wiekiem XVIII jeden jedyny Skarga przepowiedział narodowi klęskę niewoli: „Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszą niezgodę i mówić będzie: Rozdzieliło się serce ich: teraz poginą... Będziecie nietylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego“... Po nim już nikt, ani serdeczny Kochowski, ani głęboki Potocki, o ile wiadomo, struny tej nie umiał uderzyć. Nie było nawet wyrazu niepodległość. Wprowadza go dopiero w łacińskiej formie „*independentia*“ Konarski. Rzecz wysoce znamienna: odprawę daje obcym wdziercom w „Poufnych Listach podczas bezkrólewia“ 1733 r., nie żaden *Polonus* starej daty, nie jakiś chwalca „*Reginae Libertatis*“ i „wolnego niepozwalam“, ale szermierz postępu, Prometeusz myśli politycznej, ojciec wszech reform: bo niepodległość oznacza zawsze niepodległość czynu, a nie bezwładu, bo wolność — to posłuszeństwo samemu sobie, a nie bunt naprzekór innym. I drugi fakt ogromnej wymowy, o tem samem świadczący: pierwszą politykę w kierunku zabezpieczenia niepodległości stwarzają nie Potoccy, którym reforma jakoś przez gardło nie chciała przejść, ale ci, co wołali: „*extremis*

malis extrema remedia" — Czartoryscy. Książę Michał, podkanclerzy, na parę lat przed elekcją Leszczyńskiego pracuje nad pozyskaniem szwedzkiej, francuskiej, może i tureckiej osłony przed rosyjskim ciosem. Z tego ogniska dopiero jedną iskrę chwyta król Stanisław przed elekcją 1733 roku i w projekcie odezwy do narodu podnosi ważność tego wyzwolenia, jakiego Polska ma dzięki śmierci Augusta II doznać...: „Wychodzi za sprawą Opatrzności Boskiej Rzeczpospolita z cudzoziemskiej posesji... wraca się własnej i zupełnej władzy swojej". Polska „ma moc jako *jurium suorum domina* tąż władzą panów swoich obierać, którą może rządy im odbierać". Trochę zadużo tu grotów, wymierzonych w zmarłego rywala, zbyt wielka radość z tego, że: „wracają się prawa ojczyste do swojej powagi i mocy", zbyt proste utożsamianie „*excessum malorum cum ipsa causa mali*", t. j. z cudzoziemską gospodarką Sasów, zamiast mocnej zapowiedzi, że samowładna ojczyzna lepsze prawa sobie napisze... Ale istota rzeczy znalazła tu autorytatywny wyraz.

Wyzwolenie nie przyszło. Od pobudki do czynu droga okazała się ciężką. Pozostały po przedostatniem bezkrólewiu tylko hasła i wskazania — Jedne sformułowane piórem Konarskiego: („Rzplita ma z Bożego prawa swoją władzę najwyższą, względem nikogo nie zobowiązaną, podobnie jak mają swoją władzę z Bożego prawa... inne królestwa i cesarstwa"), inne wypisane w instrukcjach dla Ożarowskiego, oraz dla poselstwa na kongres pokojowy, że mocarstwa mają tam zagwarantować całość i niepodległość Polski i nigdy do jej wolnych elekcyj się nie mieszać.

Ogarniając wzrokiem okres następnych lat kilkudziesięciu, odnosimy wrażenie, jakby idea niepodległości w narodzie naszym żadnych nie robiła postępów. Przeciwnie, kto może, szuka sobie pleców zagranicą, powstają frakcje rosyjskie, francuskie, pruskie, wszyscy pokolei godzą się na gospodarkę Brühla w rzeczach polskich, prawie wszyscy inkasują cudzoziemskie pensje lub upominki. Ale to wrażenie jest dość powierzchowne. Idea, która zabłysła w niewielu mózgach około r. 1733, a potem rozsypała się jak rakieta na szerokie sfery, prze do urzeczywistnienia pod powierzchnią polityki. Jeszcze jej dużo brakuje nie tylko do fizycznego, ale do moralnego zwycięstwa. Dla partji Potockich rzecz przedstawia się prosto. „wyleźć z pluder"[1]), to znaczy, z czyjąkolwiek pomocą: francuską, szwedzką, turecką czy pruską, zrobić powstanie i przepędzić Sasów, oraz popierających ich Moskali za dziesiątą granicę. Czartoryscy swe pierwotne dążenie pogłębili o nielada stopień; uświadomili sobie, że po pierwsze, można, głosząc niepodległość, nietylko jej nie osiągnąć, ale zatracić całość państwa. Stanisław Poniatowski od czasu napadu Fryderyka II na Śląsk śledzi zamiary tegoż na Prusy Polskie; przeciw tym zakusom cała familja szuka oparcia w Petersburgu, kiedy przeciwnie, taki Jan Jabłonowski, w zgodzie z tradycją krewniaka Leszczyńskiego, gotów jest opłacić „wyjście z pluder" oddaniem Pomorza innym pludrakom, berlińskim. Powtóre, jeżeli Polska ma utrzymać swą niepodległość, to w jasnem rozumieniu Czartoryskich musi ona odzyskać wewnętrzną zdolność do rozwoju, więc lepszą konstytucję, administrację, ekonomikę, oświatę i wojsko: dla niepodległości trzeba częściowo poświęcić wolność jednostek, a skoro obóz przeciwny publicznie te rzeczy miesza, od przesądów z epoki Korybuta oddalić się nie chce, wszelką pozytywną pracę sejmową niszczy, to familja utwierdza się w mniemaniu, że poza nią nikt Polski nie zbawi i że dla tego ona powinna za wszelką cenę utrzymać się przy władzy.

Ta wszelka cena obejmuje nawet samo hasło niepodległości. Czartoryscy ściągają na kraj najpierw dyplomatyczną ingerencję Rosji (1754 — 5), potem wiążą się z „młodym dworem" Katarzyny, wkońcu za pieniądze carowej i z pomocą wojska rosyjskiego planują reformatorski rokosz.

Na oczyszczonem przez Rosjan polu wolskiem odbyła się ostatnia elekcja. Czartoryscy, którzy sądzili, że sprowadzeniem obcej przemocy niczego nie narażają — bo i tak już prawie wszystko przepadło—spostrzegli poniewczasie, że za przykładem Wiśniowieckich i Radziwiłłów (1733) zrobili nowy, podwójny wyłom w suwerenności państwa: najpierw, gdy przyznawali Rosji z mocy traktatu 1717 roku prawo sąsiedzkiej medjacji w polskich sprawach, potem, gdy wprowadzili do kraju carskie bagnety i zebrali głosy dla wskazanego przez carową kandydata. Mieli bądź co bądź tyle rozwagi, że przyjęli do wiadomości gwarancję granic, a nie ustroju Rzplitej, proponowane zaś krępujące przymierze uchylili. Strona przeciwna wdała się w gorsze pakta nie z jaką nieznaną sąsiadką, ale z wypróbowaną despotką, nie dla skupienia sił celem twórczej pracy, ale dla niszczycielskiej zemsty, pakta nie o doraźną pomoc, ale o wieczną niewolę. Stanął traktat gwarancyjny 1768 r., bezprzykładny w dziejach, uświęcający nietykalność starych nadużyć i złych obyczajów, teraz dopiero wyniesionych do zasady: Rosja, z wyłączeniem państw innych, położyła kamienną dłoń na całym polskim ustroju państwowym i społecznym, uzależniając nawet dochody i środki obronne Polski od jednomyślnej zgody sejmu, pośrednio od swego zezwolenia.

Dopiero ten odgłos zamykającej się trumny wzbudził pogrążone w letargu dusze. Wprawdzie nie wszystkie naraz, bo wielu dopiero w trakcie czteroletniej barskiej strzelanicy otwierało i przecierało oczy. Możnaby przypuścić, że obóz polityczny, który postanowił strząsnąć obce jarzmo, i którego pierwsza odezwa zaczynała się od słów: „Kiedy wolne i nikomu niepodległe narody polskie...", zrobi z niepodległości osobne, naczelne hasło, obok którego stara „wolność" stanowić będzie, jak na pieczęciach Kościuszki, motyw drugorzędny, lub nawet podrzędny. Tu jednak czeka nas niespodzianka, odsłaniająca dziwny objaw w procesie narodowego odrodzenia. Nie to uderza, że ludzie, gotowi na śmierć z rąk Moskali, wchodzą w krępującą zależność od państw innych: że Adam Krasiński chce organizować rząd i państwo w obozie tureckim, a innego króla nie przyjmie, jak z rąk Francji, że Pac tak samo czeka na kandydata „*de la moin du Roi Trés Chrétien*", bo tylko

[1]) A. M. Potocki wojewoda bełzki do Michała Radziwiłła (?) 12-go czerwca 1773: obawia się zwycięstwa elektora saskiego, „a tak z pluder nie wyliziemy nigdy *et cavendum*, żeby *sensim* nie poszła Polska *in regnem succesivum* Domowi Saskiemu w czem W. Ks. Mość myśl wcześnie *de modis et mediis*, boby to by o *cum summo periculo amittendac libertatis*, bo lubo ten Pan jest wielkich cnót, przymiotów i pełen godności, ale jako w nas musi być i powinien naturalnie *suspicax libertatis amor*, tak w nim *infallibis regnandi cupido. Sat sapienti, reliqua ad coram*" (Arch. Ord. Nieświeskiej).

taki Polskę uszczęśliwi, że Wessel chce być marjonetką w rękach Drezna, że szefowie barscy żyją latami z żołdu tureckiego i ofiarowują Wezyrowi „wszystkie majątki, krew i życie dla interesów Porty“: to było smutną koniecznością, skoro z jednostronnej dependencji do niezawisłości droga szła przez interdependencję.

Ale rzecz szczególna, jak niewątpliwy, żywiołowy instynkt niepodległości nie znajduje w ustach Barzan godnego imienia. Przeklinają wszyscy „przebrzydłą“ Jej Imperatorskiej Mości gwarancję. Michał Pac w programowym memorjale, zakomunikowanym Francji jesienią 1770 r., ubocznie tylko tą sprawą się zajmuje: dla niego nowy król, nowe alianse, skarb, wojsko, zreformowany ustrój są naturalną rękojmią niepodległości. Wielhorski niehonorowo ale zdrowo, usiłuje w „Manifeście Skonfederowanej Rzplitej“ dowieść, że to nie on z poselstwem radomskiem w Moskwie, ale familja Czartoryskich jeszcze w r. 1764 ściągnęła na Polskę gwarancję. A jednak od owej odezwy barskiej w tylu aktach, manifestach, uniwersałach generalnych i partykularnych, gdzie słychać słowo „niepodległość“ w publicznej mowie konfederatów?

Weźmy najpierw jej wyraz najbezpośredniejszy, poetycki: „Wiara i Wolność“ powtarzają się tam raz po raz w mechanicznym związku, przytem częściej brzmi w i a r a niż w o l n o ś ć. Ale co znaczy w o l n o ś ć? Z mnóstwa kontekstów widać, że przeważnie jest to stan swobody osobistej, chronionej przez „prawa stare“. W zbiorze Kolbuszewskiego na 20 wzmianek o wolności, dających się ściśle wyinterpretować, ledwo parę stanowi z tego prawidła wyjątek. Gdy konfederat wywnętrza się przed Chrystusem: „wolne nasze kraje już już utracamy, poddaństwo nastaje, wiary postradamy, Sukursu żądamy“ — to oczywiście chodzi mu n i e o liberum veto. Kiedy „Jeremjasz“ lamentuje nad Krakowem, że „wolna Polska w niewolę została poddana“, to ma na myśli niewolę moskiewską, a nie stanisławowską. Również ta męczennica Wolność, którą pod nieporęckim lasem anonim wypytuje „skaleczoną, podartą“, mówi o sobie jasno: „Moskiewskam jest branka, a z wolnej sobie pani już prawie poddanka“. Lecz to są właśnie — wyjątki. Wszędzie indziej w rymach prawowiernych stronników Generalności wolność — to głos wolny, to hetmaństwo, to odebranie mennicy królowi, wogóle przeciwieństwo silnego rządu. Wyrazu „n i e p o d l e g ł o ś ć“ t a p o e z j a w o g ó l e n i e z n a, a stare hasło w jej ustach ciągnie za sobą i u poety i u czytelnika przestarzałe wyobrażenia.

Są, prawda, wiersze pełne skargi, że „cudzoziemiec (Repnin) poddany obcej czarownicy, zwojował wolny naród bez miecza, przyłbicy“, ale tak woła „konfederat życzliwy monarsze, ojczyźnie i wierze „*pro fide, rege et lege*“, ktoś, kto upewnia, że „nie Tobie Monarcho, chcemy w rządach szkodzić. Ale wiarę i wolność z śmierci wyswobodzić“. Jeszcze inny rymopis dostrzega, „że ta wolność wszystko złe przywodzi,... wolność prawa odmienia, wykręca, gluzuje“, i wytyka konfederatom, że nawet wiarę głoszą nieszczerze, bo im się chce wolności samolubnej, prywatnej: to już wogóle nie jest głos konfederacki, lecz dworski.

Kogo te zestawienia trochę dziwią, niech weźmie do rąk publicystykę prozaiczną: tam się rozumuje, argumentuje, polemizuje, więc się nazywa rzeczy po imieniu, bez nadużywania dwuznaczników. Że w licznych Uwagach, Refleksjach, Listach, Przestrogach, Odpowiedziach doby barskiej wciąż idzie sprawa o narodową niezawisłość albo niewolę, że się tam rzadko kto rozczula nad przestarzałą „wolnością“, to jasne jak słońce, i to zjawisko najlepiej świadczy, że nawet ludzie, zbudzeni fałszywem hałem swobód, po przebudzeniu walczyli o byt państwowy. Jednak i tu wyraz niepodległość odzywa się po stronie konfederackiej wyjątkowo, raz jeden, aż w grudniu r. 1771 w responsie na ostre dworskie „*Suum Cuique*“, jakkolwiek nowe to hasło brzmiało już od dwóch lat w inspirowanem z Warszawy patrjotycznem ostrzeżeniu „*Respice finem*“, zawierającem nauki nietylko dla króla, ale i dla konfederatów.

Jeśli zaś chodzi o rzecz samą, nie o wyraz, to publicystyka pasywistów ujmuje niepodległość czyściej niż konfederacka. Czyż można gorliwiej i bystrzej demaskować rosyjski imperjalizm, niż to czyni autor pism „Przestroga do obywatelów przy wierze i wolności konfederujących się“ oraz „Projekt konfederacji cywilnej szkodliwej ojczyźnie“? Zaś w „Zdaniu wolnem o gwarancji“ pewien „patrjota tylko Bogu i Ojczyźnie obowiązany“ (jeżeli nie Konarski, to może Andrzej Zamoyski), nie chce słyszeć o modyfikacji praw różnowierczych, ani o objaśnieniu gwarancji, ani nawet o współgwarancji przez różne państwa, gdyż poza ubezpieczeniem niepodległości sąsiad sąsiadowi niczego gwarantować nie powinien. Niepodległość bezwzględna — oto jedyny cel do osiągnięcia i do opisania w traktatach.

Najwidoczniej w zakażonej Warszawie toczy się także bój o niepodległość, i jeśli i n s t y n k t e m niepodległości góruje Częstochowa, Tyniec, Biała, Preszów, to i d e a ze wszystkiemi konsekwencjami czyściej klaruje się w stolicy. Oczywiście nie w głowach Branickich, Ponińskich ani Podoskich. Pan łowczy, pan kuchmistrz, książę prymas depcą ją całem swem działaniem. Ale Czartoryscy w cichych, upartych rozmowach z Repninem i w głośnych sporach z Wołkońskim, gdy proponują objaśnienie gwarancji, cofnięcie nadmiernych ustępstw dla dyssydentów i dopuszczenie do pacyfikacji państw katolickich, to oczywiście chcą wymanewrować Rosję z Polski, jeżeli książe kanclerz wyzywająco ręczy Wołkońskiemu, że Polska zostanie Polską, to afirmuje nieśmiertelność narodu, to rzeczywiste źródło niepodległości, jeżeli cierpi konfiskatę dóbr i groźbę Sybiru—to w imię niepodległości. Andrzej Zamoyski i August Czartoryski w czerwcu r. 1769 skutecznie skłaniają króla do wysłania ajenta (Saint-Pola) na dwór wersalski, celem ścisłego uzgodnienia akcji z Francją i Turcją na zasadach obalenia rosyjskiej gwarancji, zaprowadzenia u nas rządów większości i takiego podniesienia sił obronnych Rzplitej, aby się stała naprawdę niepodległą i pożyteczną dla sprzymierzeńców. Kiedy przeważna część polityków konfederackich myśli o pozbyciu się z kraju najeźdźców i narzuconego króla, politycy warszawscy, patrząc głębiej w intencje Rosji, widzą jądro sprawy w zniszczeniu *liberum veto* i w przywróceniu polskiej niepodległości ustawodawczej.

Jeżeli tak jest, jeżeli twórcza myśl niepodległa i czyn samoobronny tęsknią do jednego ideału, to czem tłumaczyć rozdzierający całą dobę barską rozbrat między stolicą i krajem? Czy tylko walką o osoby Poniatowskiego lub Czartoryskich? Nie wyłącznie. Wówczas to bowiem stanęła na ostrzu miecza kwestja: całość czy niepodległość? Już niema

siły, któraby sprzymierzone moce Rosji i Prus zdołała rozeprzeć: już tylko cudem giętkości można — według tej koncepcji — carową z pod wpływu Fryderyka wyprowadzić. Stanisław August, król nieposzlakowany na punkcie strzeżenia integralności ziem Rzplitej, widzi pokolei w oczach Repnina, Wołkońskiego, Salderna, błyski rozbioru. Prawda, że lęka się detronizacji i z pałacowych zbytków nie rad w niesławie schodzić do nicości, te pobudki najsilniej działają nań przed wojną turecką w r. 1768 i po uniwersale o bezkrólewiu. Skoro się jednak nie sprowadza pobudek Barzan do zemsty i karjerowiczowstwa, to tak samo byłoby kłamstwem i krzywdą wykreślać z motywów króla przewidywanie rozbioru. Inni tego niebezpieczeństwa nie chcieli widzieć: jemu nie wolno było zatykać uszu na niedwuznaczne ostrzeżenia. Inni, stronnicy sascy, zapłaciliby Pomorzem za samą rozkosz detronizacji, jeszcze inni w rodzaju patrjoty Mokronowskiego, opłaciliby Spiszem wątpliwą pomoc Austrji w walce o niepodległość: Poniatowski woli poniżenie, protektorat, niż rozdarcie ziem polskich.

Rok 1772-3 przyniósł obu stronom tragiczną lekcję realizmu. Nie ocalił Branicki Polski przed rozbiorem swą służbą w zaciągu Salderna. Nie obronił Pułaski suwerennego majestatu Rzplitej... Cóż z tego, że w roku 1772, u schyłku wielkich zmagań dziwnym akordem jęczą serca na przeciwnych biegunach bijące: że Adam Krasiński gotów już pertraktować z Warszawą, byle miał pewność, „kto nam ma gwarantować niepodległość", „ażeby nigdy więcej Moskwa jarzma nam włożyć nie mogła"? Że Stanisław August jednocześnie za cel rokowań stawia sobie „pacyfikację trwałą, a zgodną z naszą narodową niepodległością"? Że zdaniem Paca (1774) „zgaszona cnota i niepodległość całego upadku jest przyczyną"? Że i Wielhorski pod wpływem ministrów francuskich oraz Rouseau'a i Mably'ego wprowadza wreszcie to pojęcie do swego dzieła?

W traktatach 1773 r. znalazło się miejsce i na rozbiór i na gwarancję. Wszystkie trzy państwa ościenne poręczyły sobie na przyszłość nasze prawa kardynalne, t. zn. nicość okaleczonej Polski. Rosja dorzuciła gwarancję wszystkich, nawet najprywatniejszych i najnikczemniejszych ustaw tego Sejmu. Pozostały gdzieś w żyznym ile, na dnie dusz szeroko rozsute ręką Konarskich i Zamoyskich, Krasińskich i Pułaskich ziarna idei niepodległości — wieczyście twórczej i żywiołowo odpornej. A przed niemi, nad przesyconem krwią trzęsawiskiem nadchodzącej ery, niby błędny ognik, w rzeczywistości jak niewygasły znicz zaświeciły słowa ostatniej reklamacji Paca i towarzyszów: „Protestujemy się przeciwko wszystkim aktom przeszłym, niniejszym i przyszłym, jako przeciwnym prawu natury, prawu narodów, traktatom zaszłym z sąsiedzkiemi i innemi Europy potencjami, przeciwnym gwarancjom wszystkich traktatów, *constitutioni status*, prawom kardynalnym i niepodległości Rzeczypospolitej".

Zakiełkują te nasiona, rozgorzeją te iskry na cały naród, kiedy stanie na jego czele świątły zastęp przodowników, który zrozumie podstawową prawdę życia narodów: że niepodległość ochrania się od zewnątrz, ale buduje się ją od wnętrza.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

FILOZOFJA CZYNU I MISTYCYZM

NAJWAŻNIEJSZĄ cechą odrodzonego spirytualizmu francuskiego, zwłaszcza w tej jego postaci, jaką widzimy u Maurycego Blondel'a [1]), u Ojca Laberthonnière'a [2]) i u Edwarda Le Roy'a [3]), jest potępienie czysto teoretycznej spekulacji i stwierdzenie prymatu czynu oraz łączności filozofji i życia.

Ten nowy pozytywizm, „pozytywizm spirytualistyczny", jak go nazywa Le Roy, jest filozofją Czynu, widzi we wszelkiej myśli prawdziwej Myśl-Czyn, myślenie teoretyczne jest jedynie zwierciadłem Czynu. Czyn, mówi Blondel, „obejmuje w sobie inteligencję, poprzedzając ją i przygotowując, następując po niej i wykraczając poza nią".

Na drodze czysto spekulatywnej, stwierdza dalej Blondel, nie można rozwiązać żadnego zagadnienia, przez samo rozumowanie nigdy nie osiągniemy prawdy. „Czyn dokonany jest integralnym warunkiem poznania filozoficznego", a „praktyka daje rozumowaniu taką naukę (*enseignement*), której żadną inną drogą otrzymać nie można" [4]).

Doprawdy, trudno dobitniej stwierdzić łączność praktyki i teorji, czynu i myślenia, i namacalniej wskazać życiową doniosłość filozofji, która „rozpoczyna się naprawdę" wtedy dopiero, kiedy „staje się praktykującą" [5]).

[1]) Ur. w Dijon w 1861-ym, M. Blondel, prof. uniw. w Aix — Marsylji jest pierwszym przedstawicielem tej koncepcji, którą wyłożył najpierw w fundamentalnem dziele p.t. *„L'Action" (Paris, 1893)*, a następnie rozwinął w szeregu innych prac i artykułów.

[2]) O. Laberthonnière ur. w 1860-ym, kierownik *„Annales de philosophie chrétienne"* od 1905 do 1913, rozwija dalej poglądy Blondel'a, jego najważniejszemi pracami są:

„Essais de philosophie religieuse" (Paris 1903) i
„Le Réalisme chrétien et l'Idéalisme grec" (Paris 1904).

[3]) Edward Le Roy, ur. w 1870-ym, następca Bergsona na katedrze filozofji w *Collége de France*. Z zawodu matematyk *(docteur ès scences mathématiques)* jest jedną z najciekawszych osobistości współczesnych, łącząc w sobie sumienną ścisłość uczonego, głęboką przenikliwością filozofa, niepospolity talent literacki, żarliwość wierzącego katolika i ujmującą słodycz obejścia.

Jego punkt wyjścia jest zupełnie inny, niż Blondel'a, a zakres zainteresowań tak rozległy, że tylko dla przykładu ograniczymy się do wskazania kilku jego dzieł i artykułów, jaśniejących głębią odsłanianych perspektyw filozoficznych i niepospolitem pięknem stylu:

„Un positivisme nouveau" („Revue de Métaphysique et de Morale", 1901).
„Sur la logique de l'invention" (Ibid. 1905).
„Comment se pose le problème de Dieu" (Ibid. 1907).
„Essai sur la notion du miracle" („Annales Phil. Chrét"., 1906).
„Une philosophie nouvelle" (Paris 1912) — najlepsze przedstawienie bergsonizmu.

[4]) Poglądy te rozwinięte są w artykule *„Le point de départ de la recherche philosophique" („Annales Phil. Chrét"., 1906).*

[5]) *Ibid.*

Filozof więc — to nie oderwany od życia marzyciel—fantasta lub pogrążony w czysto abstrakcyjnych dociekaniach uczony, lecz człowiek „praktykujący“, człowiek czynu, człowiek działający świadomie na rzeczywistość i przetwarzający ją w myśl powziętych ideałów. „Każdy czyn jest zakrętem historji powszechnej (*universelle*)... trzeba zawsze działać tak, jakbyśmy władali światem“ [6]).

Oto szereg męskich twierdzeń autora „*L'Action*“, twierdzeń, które krzepiły tężyznę duchową elity intelektualnej młodzieży francuskiej, budząc w niej wiarę w siebie, w Naród i w Boga.

„Stwierdzenie Boga, jak i stwierdzenie nas samych, jest czynem żywym“ pisze Laberthonnière [7]), a Blondel podkreśla, że poznanie Boga, jak wszelkie poznanie zresztą, nie może być czysto teoretyczne. Jeśli zatrzymuję się na Bogu, mówi, jak na bycie, który rozważam zzewnątrz, staje się on bożkiem. „Wszędzie, gdzie zatrzymujemy się, niema Go, wszędzie, gdzie idziemy, — jest“ [8]).

Integralnym warunkiem poznania Boga jest praktyka religijna [9]). Ona jest „wykończeniem“ (*achévement*) Czynu [10]).

Oto ostateczny wynik, do jakiego dochodzi Blondel w swej krytyce Czynu. Ścisły związek i organiczna łączność myślenia, czynu i życia religijnego zostały jaknajdobitniej wskazane. Myślenie jest zwierciadłem Czynu, a praktyka religijna—jego „wykończeniem“, ukoronowaniem.

Dla dania zupełnego obrazu filozofji Czynu, trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden punkt: na jej stosunek do mistyki z jednej strony, i do okultyzmu i spirytyzmu z drugiej, tembardziej, że okultyzm i spirytyzm, stały się niejako „wiarą“ pewnej części naszej „inteligencji“, gdzie praktyki okultystyczne i spirytystyczne zastąpiły w znacznej mierze praktyki religijne.

Przedewszystkiem chodzi o to, czy sfera mistyki ma cokolwiek wspólnego ze sferą okultyzmu, czy sfera wewnętrznego doświadczenia oświeconych Łaską dusz, ma cokolwiek wspólnego z „objawami“ okultystów?

Otóż Blondel stwierdza jaknajdobitniej, że mistyka nie ma nic wspólnego z okultyzmem, jak religja — ze spirytyzmem. Są to rzeczy absolutnie różne [11]).

Spirytyzm i okultyzm poruszają się na płaszczyznie empirycznej, pretendują, by odkryć zmysłami nowe dane, przedłużając nasze obecne doświadczenia, gdy świat mistyki, jest nieprzystępny dla zmysłowego doświadczenia. Wejść doń można jedynie przez „wewnętrzne nawrócenie, przez duchową przemianę naszej moralnej istoty“.

W swych poglądach, dotyczących natury przedmiotu mistyki, jest Blondel jeszcze bardziej głębokim i jeszcze bardziej konsekwentnym, przeciwstawiając się tak rozpowszechnionym, nawet wśród ludzi mocno na gruncie religijnym stojących, poglądom, jakoby przedmiotem mistyki były jakieś niejasne sfery wewnętrznego doświadczenia, sfery, które tylko w marzycielskim porywie osiągnąć można.

Blondel stwierdza wyraźnie, że mistyka nie odnosi się wcale do tego, co jest niejasnością i grą subjektywnych perspektyw, lecz do „bardzo pozytywnie oznaczonego (*determiné*) i bardzo metodycznie oznaczalnego (*determinable*) sposobu (*mode*) życia duchowego i światła wewnętrznego“. Stąd wynika, że mistyka „zawiera w sobie udział dyspozycyj intelektualnych..., wolę bardzo świadomą i bardzo osobową, ascezę moralną“.

Stany mistyczne nie wykluczają więc bynajmniej udziału naturalnych władz ducha ludzkiego, jak to niektórzy sądzić gotowi, przeciwnie, podnoszą one tylko te naturalne władze na wyższy szczebel doskonałości i życia osobowego dzięki współdziałaniu Łaski.

Cóż więc znaczą te wrażenia „ciemności“ i „nocy, przez które mają przejść zmysły i umysł“, o jakich mówią nam święci? Otóż nic bardziej fałszywego, jak brać te powiedzenia dosłownie. Jeśli mistycy mówią o „nocy“ i „śmierci“—jest to jedynie chęcią dostosowania się do języka pozorów „dawnego człowieka“, do języka, w którym jest brak słów na wyrażenie tych specyficznych stanów. Nie należy zatem tłumaczyć „tajemniczy i ukryty“ przez „niejasny i mglisty“, lecz przez „jasność i zmartwychwstanie“.

Jasne jest więc, że w tej koncepcji mistycyzm nie będzie wcale przerostem uczuciowości i fantazji, lecz pełnią rozkwitu aktywności intelektualnej i woli, nie będzie ucieczką od życia, lecz jego wzmożeniem. Mistyk — to nie marzyciel, to nie „*bel esprit*“. Malebranche'a, biernie poddający się grze wybraźni, lecz człowiek głębokiego czynu, dążący z pełnią świadomego wysiłku woli do wyższego stopnia osobowego życia.

Tak pojęta mistyka nie jest wcale jakimś nieosiągalnym dla zwykłych śmiertelników ideałem, lecz wzorem, który każdy z nas wedle swej możności urzeczywistniać powinien: „Trzeba zawsze działać tak, jakbyśmy władali światem“.

Warto, aby tych kilka głębokich myśli największego współczesnego francuskiego filozofa katolickiego wyryło się trwale w pamięci polskiej narodowej inteligencji i ażeby ustrzegło ją od mieszania ze sobą tak zupełnie różnych pojęć, jak okultyzm, spirytyzm i marzycielstwo z jednej strony, a mistycyzm — z drugiej [12]). Warto zapamiętać naukę Blondel'a, że czyn dokonany, czyn żywy jest nieodłącznym warunkiem poznania.

ST. CZAJKOWSKI

---

[6]) „*L'Action*“, str. 236.

[7]) „*Essais de phil. réligieuse*“, str. 76.

[8]) „*L'Action*“, str. 352.

[9]) Analogicznie możnaby powiedzieć, że (nieodłącznym) integralnym warunkiem poznania narodu (jako takiego) jest praktyka narodowa, czyn narodowy. Na drodze czysto teoretycznej nigdy nie dojdziemy do poznania narodu. W ten sposób moglibyśmy zrozumieć, dlaczego nie wszyscy posiadają intuicję Narodu.

[10]) Taki jest tytuł V-ej części „*L'Action*“.

[11]) Por. artykuł „*Le probléme de la Mistique*“. „*Cahiers de la nouvelle Journée*“, 3.

[12]) To pomieszanie pojęć mistycyzmu i marzycielstwa zostało wywołane w znacznej mierze przez wychowanych w atmosferze protestanckiej psychologów, w myśl bowiem doktryny, protestanckiej umysł ludzki jest tak całkowicie skażony, iż żadną miarą nie może wznieść się do Boga, co może uczynić jedynie uczucie (*Gemüt*); dla najwybitniejszego zaś przedstawiciela filozofji katolickiej, św. Tomasza, umysł nasz jest „*capax Dei*“, a „*omnis intellectus naturaliter desiderat divinae substantiae visionem*“.

NA WIDOWNI

Rzecz w instynkcie moralnym. — Państwo, prawo i społeczeństwo jako ochrona jednostki. — Historjozofja sanatora wileńskiego. — Historja o trzech córkach króla Leara. — Co to jest godność ludzka. — Socjologja honoru. — Przygody chłopców z dwu różnych sfer. — Psychologja rewolucjonizmu.

OD CZASU osadzenia szeregu posłów w więzieniu brzeskiem zapanowało w Polsce ponure milczenie. Przerwał je brukowy dziennik „sanacyjny", usiłując wprowadzić opinję na tory rozważań ogólnych, że przecież nikt nie ma przywilejów wobec kodeksu. „Gazeta Warszawska" odpowiedziała na to, że społeczeństwu cywilizowanemu niema potrzeby wykładać takich rzeczy elementarnych, jeno trzeba powiedzieć, o co oskarżeni są uwięzieni i co się z nimi robi. Chodzi o co innego:

„Mamy do czynienia z faktami, o których dziś idzie wieść po kraju i wobec których zająć musi stanowisko nietylko prawnik, lecz każdy Polak i każdy człowiek w swem sumieniu, z faktami, które staną kiedyś przed trybunałem historji. Myli się „Kurjer Poranny" i mylą się ci, którzy za nim stoją, jeśli sądzą, że „sprawa brzeska" może być wyjaśniona i usunięta z sumień ludzkich i z życia politycznego przez suche, sofistyczne i bezduszne krętactwa kauzyperdów. Bo można wyjaśnić i usunąć sprzeczność poglądów w dziedzinie pojmowania czy w interpretacji prawa, można szukać kompromisów w dziedzinie zagadnień i programów politycznych. Lecz jest dziedzina, która nie znosi kompromisów — mianowicie dziedzina pojęć i poczuć moralnych, które są w związku z wyrobioną w ciągu wieków historji kulturą duchową narodu.

„Sprawa brzeska", ta, która jest dziś zagadnieniem, zajmującem myśl społeczną, która działa na uczucia i niepokoi sumienia polskie, należy przedewszystkiem do tej dziedziny moralnej; reakcja wobec niej zależy w pierwszym rzędzie od poziomu moralnego ludzi i wrażliwości ich ludzkiego i polskiego sumienia".

W większym stopniu impresjonista, niż myśliciel, redaktor „Słowa", konserwatywno-sanacyjnego dziennika wileńskiego p. Mackiewicz, w artykule p. t. „Tajemnica Brześcia" przenosi sprawę na grunt historjozoficzny. Widocznie prasa „sanacyjna" otrzymała zlecenie głębszego umotywowania niebacznego kroku; mamy więc filozofję prawa i historjozofję. P. Mackiewicz malowniczemi plamami szkicuje dzieje liberalizmu wieku XIX, znaczonego wysiłkami sfer oświeconych i reakcji ludu, który się wypowiedział najdobitniej w bolszewizmie. Tragedję oświecenia przedstawia autor w obrazie króla Leara:

„Szekspirowski król Lear to był taki papa, który wszystko, co miał, rozdał pomiędzy trzy córy. Kiedy córy królewskie weszły we władanie ziemią i poddanymi, nietylko nie darzyły ojca wdzięcznością, lecz wygnały go, tak, że starzec o kiju żebraczym przebiegał swoją ziemię i oczywiście żalił się przed widzami odpowiednio. Otóż inteligencja polska krwawiła się w powstaniach, na które lud tylko wtedy się zjawiał, gdy można było rannych powstańców kijami dobijać. Inteligencja polska darła się (?) w więzieniach, które dla niej urządzał wyżej wymieniony ideowy Zubatow, wymyśliła niepodległość. Po jej odzyskaniu wmówiła ludowi, że to on tę niepodległość zdobył i oddała temu ludowi wszystko. Od honoru tytułu obrońcy Ojczyzny, — który mu, jako żywo, nigdy się nie należał — do praw wyborczych, dających mu nad polską inteligencją niesłychaną numeryczną przewagę. Cóż się stało? — Czy tchnienie t. zw. ludowej demokracji było tchnieniem liberalizmu i humanitaryzmu, pielęgnowaniem praw jednostki?"

Wynikałoby z tego toku myśli, że represje brzeskie są już reakcją na gwałt zadawany cywilizacji przez ludowładcze uzurpacje (sejmowładztwo). Zdawałoby się więc, że inteligencja powinna być z tego obrotu rzeczy zadowolona. Ale nie, rzecz dzieje się poza inteligencją, która okazała się wobec zjawiska z obu stron bezsilną. Dawniej przecież:

„najmniejsza niedokładność w cesarsko-rosyjskiej procedurze sądowej takiemi płomieniami oburzenia strzelała z rosyjsko-polskiej społeczności inteligenckiej, że dziś w porównaniu z tamtem protesty jakiejś tam rady adwokackiej przeciw min. Carowi, to zaledwie płomyk maszynki spirytusowej! Dlaczego się tak dzieje? Czyśmy wszyscy tak spodleli, aż w taki wpadli oportunizm. Czy te głosy, oddawane na jedynkę masowo przez inteligencję polską, to także tylko objaw upodlenia, oportunizmu, strachu? Nie! Załamała się w inteligencji polskiej wiara w liberalizm i humanitaryzm.

Wykrzyknijmy teraz tak, aby nas usłyszano, jak najgłośniej: kto tę wiarę załamał. Nikt inny, jak właśnie te czasy, w których, gdy pan Thugutt mówił „Sejm", to z wyrazem niechęci machał ręką. Dojście do władzy, a właściwie próba dojścia do władzy, przez głosowanie powszechne mas ludowych, tak zwane sejmowładztwo, nietylko nie było u nas liberalne, humanitarne, delikatne wobec jednostki, lecz przeciwnie, nad indywiduum ludzkiem ciężkie swe łapy oparło dla trywjalnego interesu gromadnego. Ubolewanie nad zanikiem w społeczeństwie polskiem tradycji liberalizmu XIX wieku — to tylko reakcja na zetknięcie się oko w oko z rzeczywistością, z polską demokracją ludową i z tem, jak jej rządy wyglądały".

Winę więc tego, co się stało i pogrążyło opinję Polski w świecie cywilizowanym, ponosi według konserwatysty „sanacyjnego" demokracja. Jakaż więc siła działa? Nie inteligencja, nie lud. Na to barwna w plamach, ale nielogiczna w rysunku myśl publicysty wileńskiego nie daje odpowiedzi. Sam się rozgrzesza i rozgrzesza swoich. To trudno: myśmy nie spodleli — powiada — tylko „załamała się" w nas wiara w liberalizm i humanitaryzm. Jakże łatwo na wschodzie rodzi się i załamuje się się wiara! Wschodni fatalistyczny mistycyzm daje ładne pole poezji oraz impresjanizmowi filozoficznemu, ale kłóci się z faktami. Stuprocentowe głosowanie kresów na jedynkę — którego pragnął p. Mackiewicz — jest-że ostatecznie według niego renesansem, czy załamaniem się? W Wielkopolsce powiedzą poprostu: brak kultury politycznej i bezmyślność, a na tem tle kwiatki literackie p. Mackiewicza. Ludowładztwo (sejmowładztwo) nie było humanitarne — to przeszłość, ale jakże tłumaczyć czas teraźniejszy, który walczy z „trywialnym interesem gromadnym"?

Należy trochę zanalizować zjawisko i zastanowić się nad tem, że w grę wchodzi coś trzeciego: ani elita ani lud, mianowicie jakiś czynnik socjologiczny pozapolityczny, natury czysto moralnej, wskutek której cierpi wogóle człowiek. Darmobyśmy szukali tutaj djalektyki takich czy innych „interesów" społecznych; w grę wszedł sadyzm, czynnik pozaspołeczny, a żaden układ stosunków społecznych nie ma nań wpływu. Pada ofiarą poprostu godność ludzka. Człowiek (jednostka) jest tutaj powołany do reakcji, człowiek, który się znalazł w gęstej mgle, mgle śmiertelnej, jak ta, co uśmierca ludzi w Belgji. Plebiscyt (bo tak, panie Mackiewicz, nazwaliście wybory) powołał większość solidaryzującą się z faktami. Pan solidarnie należy do tej większości, która zaciąga nieczułym lodem wierną rzekę. A w tej rzece utonął człowiek. Przerażeni na brzegu ludzie medytują, czy mają rąbać przerębłe, czy czekać wiosny, aż prysną nieczułe lody?

Zdawkowi socjolodzy błądzą, gdy wyrażają zdziwienie, że w czasach niewoli wrażliwiej reagowaliśmy na ucisk i tłumaczą tę zmianę spodleniem gatunku. Zapominają o tem, że siłą naszą był wtedy patrjotyzm, wrażliwy na ciosy, z rąk obcych spa-

dające. Nie wszystko da się wytłumaczyć zmianą w układzie społecznym. Bardzo ważnym czynnikiem w warunkach obecnych jest także patrjotyzm, ale on spełnia rolę odwrotną, hamuje odruchowość reakcji. Ba, gdyby rozumiano, co to za skarb spoczywa w tej bierności, będącej nieraz tylko lojalnością wobec państwa dlatego tylko, że jest własne, nie branoby tej właściwości na próby tak ciężkie!

Jest brzeg, poza który nawet bierność nie może się dać zepchnąć, to godność ludzka. Jeżeli ta kwestja stała się aktualną w Polsce, to przyczyny tego zjawiska trzeba szukać w specjalnych warunkach czasu, nie w tych ewolucyjnych, które wskazuje p. Mackiewicz. Ani lud, ani inteligencja w normalnych warunkach bynajmniej nie chorują na brak poczucia godności ludzkiej. Owszem, gdy lud dobija się wyżyn społecznych, to raczej z nadmiaru tego poczucia. Cywilizacja swoje robi przedewszystkiem na tym punkcie. Zamiast się gubić w teorjach, przyjrzyjmy się życiu. Czytaliście zapewne wypadek opisany niedawno w dziennikach warszawskich.

W pewnej restauracji kuchcik — taki właśnie z ludu — rozgorzał ciekawością, jak się ludzie bawią na *dancing*'u. Stanął sobie w drzwiach i patrzył. Gospodarz zgromił wyrostka. Do kuchni, hyclu! Po chwili jednak znowu się wyrwał. Było to nad ranem, kuchnia już nieczynna, chłopca widocznie rozmarzyło. Któż tam wie, czy nie marzył, że i on mógłby z czasem wejść między ludzi wesołych, bogatych i tak sobie tańczyć. Może porównywał, jak to na wsi tańczą i tutaj, może coś wspominał. Gospodarzowi jednak przebrała się miarka demokratyczności: chwycił chłopca za kołnierz i wyrzucił do kuchni. Biedak zapłakał z żalu i z niemocy. Gdyby miał rewolwer — tak wyznał służbie — zastrzeliłby i gospodarza i siebie. Czuł się sponiewierany i nieszczęśliwy. Jakiś czas medytował, a potem wyszedł do klatki schodowej i rzucił się z okna czwartego piętra.

Wypadki przewrażliwienia na punkcie honoru pouczają, jak drażliwa jest ta gleba godności ludzkiej. Mam w pamięci z przed kilku lat wypadek samobójstwa ucznia gimnazjalnego (maturzysty) z powodu nieporozumienia z nauczycielem gimnastyki. Ten, nie zdając sobie sprawy, że ma do czynienia z jednostką wyjątkowo wrażliwą, niesłusznie skarcił chłopca, mówiąc mu coś o łobuzerji. Młodzieniec stanowczo zaprotestował; nieprzyzwyczajony do nagan, poczuł się skrzywdzonym. Dyrektor, który obowiązany był go znać, nie uszanował tej wrażliwości i „dołożył" od siebie, zagrażając relegacją. Chłopiec się zastrzelił z rewolweru brata oficera. Pamiętam, jak współczułem zacnemu ojcu, a nawet jego bratu, dziś „pułkownikowi".

Nie wszyscy są równie wrażliwi. Jest kategorja ludzi bezwrażliwych na tym punkcie. Ci właśnie nie zastanawiają się nad tem, co to jest ból znieważonej godności ludzkiej.

To miejsce, które tak boli, jest to miejsce w człowieku święte. Człowiek tędy widocznie wyrasta na ludzi. Jeżeli się mówi człowiekowi, że ma w sobie pierwiastek boski, to przecież coś znaczy, nie można niczego mówić na wiatr i myśleć bez treści. Kto nie umie myśleć na tematy z religji, która uczy o podobieństwie boskiem człowieka, to niech się przypatrzy rozwojowi ludzkości, że wynika on z szamotania się człowieka z warunkami życia zwierzęcego. Człowiek po wszystkie czasy najwięcej ofiar ponosił, aby stworzyć sobie warunki immunitetu dla swego człowieczeństwa. Czemże innem jest ideał wolności, jak nie dążeniem do zdobycia praw nieskrępowanego rozwoju darów boskich człowieczeństwa?

Nie zatrzymujmy się na tej nieskończonej drodze przy słupach, gdzie napisano: próżność, miłość własna, ambicja — ta droga ma wylot metafizyczny, a żądzę utrzymania się na niej uświęca to, co nazywamy h o n o r e m. Tej drogi nie wolno nikomu zabiegać i grodzić: jest to droga osobista mojego rozrachunku z moim Bogiem. Wszystko mogę poświęcić, prócz mej godności ludzkiej. W prawie do tej drogi — jest moje „ja".

Wszystkie procesy cywilizacyjne zachodnioeuropejskie, czy w okresach kwitnienia religijnego, czy w czasach panowania racjonalizmu, szanowały to miejsce drażliwe w człowieku, widząc w niem kiełkowanie wyższej twórczości. I stopień zdziczenia naodwrót — daje się poznać po tem właśnie, w jakiej mierze ten punkt jest atakowany. Barbarzyńca potrąca człowieka w to miejsce przez nieuwagę, nie wiedząc co czyni, ale to nie boli. Zdziczenie ma to do siebie, że ono w to miejsce c e l u j e. Tak mści się człowiek zwyrodniały za to, że sam ten święty organ godności ludzkiej postradał. Panu Mackiewiczowi w odpowiedzi na pytanie, czemu godność ludzka dzisiaj w humanitaryzmie nie ma osłony, zabrakło tego ważnego w historji najnowszej faktu, jakim jest zwyrodnienie rewolucjonistycznej manjery zachowania się wobec społeczeństwa i jednostek. Okres 1905 — 1930 musiał wydać swe owoce. Ta sfera jest też córką króla Leara — to pewna, ale tą, która się — „puściła".

Zdziczenie obyczajów bywa usprawiedliwiane wojną. To nieprawda. Z wojny wynoszą ludzie pewną surowość, niewrażliwi się stają na śmierć. Wojna jest szkołą doświadczalną filozofji, która po głębszym namyśle zawsze to powie, że właściwie niema śmierci i że nie trzeba się jej bać. Ale wojna jest też szkołą rycerskiego honoru. Nie w walce ludzie dziczeją, lecz w bijatyce — i to trzeba odróżniać; dziczeją w rewolucyjnej manjerze—w szkole bojówek. Wtedy psychologja nożowca zapuszcza w społeczeństwo zgoła niespodziane zagony.

Jednostka, wyrastająca ze społeczeństwa, ma analogiczną do niego budowę. Psychologja wywrotowa uczy się godzić w oboje z jednaką pogardą i dla człowieka i dla budowy społecznej. Prawo zarówno kodeksowe, jak i moralne jest wrogiem rewolucji. Jednostka wrośnięta w społeczeństwo wpływami i mandatami, dla wywrotowca jest podwójnie nienawistna. Na taką on poluje, jak na zwierzynę.

Jeżeli społeczeństwo i prawo powstają na to, aby jednostce dać możność rozwoju przez zabezpieczenie przedewszystkiem jej godności ludzkiej, to psychologja bojówki właśnie tego miejsca w człowieku szuka, aby w nie ugodzić. Ludzie na stanowisku, rozłożeni niejako psychicznie na społeczeństwo, są mniej osobiści, niż przytoczeni wyżej chłopcy i więcej mogą przenieść cierpienia; więcej im nieraz znaczy krzywda społeczna, niż osobista. Ale też szersze koła cierpienie ich odczuwają i nie są przez to tak bezbronni. Fakty stają się historycznemi.

Całe szczęście, że takie chorobliwe okresy kończą się z wygasającem pokoleniem i nie mogą być długotrwałe.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

IDEAŁ GODNOŚCI OSOBISTEJ

PROF. Stefan Szuman poruszył na łamach „Kwartalnika Pedagogicznego“ doniosłą kwestję przewartościowania ideałów wychowawczych, która winna wzbudzić szerszą dyskusję[1]). Oto poddał w swym artykule wyczerpującej krytyce tendencję do oddziaływania wychowawczego przez stawianie młodzieży przed oczy wielkich wzorów do naśladowania, jakich typem były sławne „Żywoty“ Plutarcha,—i pokazał odwrotną stronę medalu tego cenionego dotąd bez zastrzeżeń środka wychowawczego. Ideały pedagogiczne — powiada na wstępie — muszą zmieniać się z rozwojem kulturalnym i duchowym ludzkości. Jeśli w wykładzie historji królowie, dynastje, wodzowie, bitwy, przestają być główną treścią, to zmiana musi też nastąpić w wychowaniu młodzieży na wzorach bohaterów, wielkich i sławnych ludzi. Tacy ludzie są wyjątkami, a nie normą dla każdego. Wychowanie zaś ma tworzyć nie wodzów tylko, ale i zwykłego „nieznanego obywatela“, od którego wartości zależy wartość i rozwój narodu.

Dążenie do wielkości, przodowania innym, jest obowiązkiem jednostek, odpowiednio do tego przez naturę wyposażonych, równoznacznym z obowiązkiem niezaprzepaszczenia talentów, które winny być zużytkowane społecznie. Wielkość nie ma być i tu zatem celem sama przez się, ale narzędziem na usługach rozwoju ducha. Tymczasem ideał wielkości przemawia przeważnie do ambicji, żądzy wyniesienia się nad innych, do obawy poczucia niższości, pragnienia sławy dla niej samej. Prowadzi to do wytwarzania się dwóch niepożądanych typów: ludzi brutalnie wybijających się wszelkiemi siłami i sposobami ponad innych — i ludzi, którym warunki przyrodzone i życiowe nie pozwalają wynieść się nad innych, i którzy dlatego czują się upośledzeni, zawiedzeni w swych nadziejach, niepełnowartościowi.

Namiętność wyniesienia się nad innych na jakiemkolwiek polu i w jakikolwiek sposób, albo przynajmniej marzenia o tem, mogą też być, zdaniem Alfreda Adlera, twórcy jednego z kierunków psychoanalizy, kompensacją za rzeczywiste upośledzenia, doznawane w życiu przez ludzi słabych, niepełnych. W takich wypadkach mamy zatem do czynienia ze zjawiskami chorobliwemi.

Wreszcie podnosi prof. Szuman, że pod wpływem ideału wielkości wytwarza się poczucie, iż człowieczeństwo znajduje pełny wyraz dopiero w ludziach wybitnych, wielkich. Człowiek przeciętny, szary, codzienny jest jakby niepełnym człowiekiem. Nadprzeciętność staje się więc jedynie godnym wysiłku ideałem.

Ideał wielkości, stawiany za wzór, jest przytem przeważnie ideałem urojonym a nie rzeczywistym. Sfałszowanie następuje pod wpływem subjektywnych marzeń oraz pod wpływem społecznych i pedagogicznych celów. Z ludzi o pewnych cechach wybitnych czy wielkich tworzą się przez wyidealizowanie nierealne postaci, wielkie pod każdym względem, niedostępne żadnej ułomności, nadludzkie. Dzieje się to, po pierwsze, z powodów psychologicznych — ludzie mają potrzebę adorowania i marzenia o czemś niedościgłem dla siebie. Powtóre, bywa tak dlatego, że ludzie wybitni i czołowi w jakiejś grupie politycznej, kierunku artystycznym i t. d. nabierają znaczenia i wartości symbolu i sztandaru — wobec tego dokoła ich imienia i postaci tworzy się aureola, wynosząca ich ponad zwykłe człowieczeństwo. Wreszcie w celach pedagogicznych dokonywa się często idealizacji taniej, płytkiej, wytwarzającej bohaterów szablonowych, albo też wyposażonych w wyolbrzymione zalety wielkości, dobroci, bohaterskości, genjuszu, a pozbawionych wszelkiej słabości ludzkiej, wolnych od tragizmu walk i zmagań się w dążeniu do doskonałości. Takie wzory nie dają pojęcia o istocie prawdziwej wielkości, która jest owocem twórczych wysiłków, dokonywanych na swej naturze, a opłacanych trudem i cierpieniem.

Życiorysy wielkich ludzi, pisane dla celów wychowawczych, winnyby być idealistyczne i wzniosłe, ale równocześnie odpowiednio realistyczne i krytyczne. Wówczas objawiałoby się nich jądro wielkości, którem jest człowieczeństwo.

W tem miejscu rozeszliśmy się z prof. Szumanem. Ten bowiem po słusznej krytyce błędnie pojmowanego ideału wielkości przeciwstawia mu ideał człowieczeństwa, który stawia w pośrodku między wielkością a pospolitością, ukazując go jako właściwą metę życia i trudu każdego człowieka. Piszącemu te słowa natomiast wydaje się, że należycie pojęty ideał wielkości jest pewną formą ideału człowieczeństwa, która nie może zatem być mu przeciwstawiana. Wynika to ze słów samego autora artykułu: „Być człowiekiem, znaczy być sobą — w idealnem tego słowa znaczeniu. Być sobą, t. j. nie widzieć celu życia w naśladowaniu drugich, nawet wielkich, lecz w szukaniu siebie samego. Oczywiście, że mało „człowieczeństwa“ jako wartości, o której mowa, posiada ten, kto nie dąży do ideału, przewyższającego jego samego. Ale tym ideałem jest jego lepsze Ja, jest on sam, w rozkwicie tej potencjonalności i energji, jaką posiada; jest nim talent biblijny, który właśnie on otrzymał, aby nim rozumnie szafował i go pomnażał, a nie talenty innych ludzi, choćby przewyższały jego talenty; tym ideałem jest jego powołanie, a nie wielkość, a spełnienie powołania i zrealizowanie idealnego samego siebie jest zawsze czemś wielkiem, choć zwykle nie towarzyszy temu rozgłos i wyróżnienie się wśród drugich. Przed każdym człowiekiem stoi zatem pewien ideał wielkości“.

Człowieczeństwo jest nieodzownym warunkiem wielkości w węższem znaczeniu, t. j. dostępnej tylko uprzywilejowanym przez naturę jednostkom. Jest to wartość fundamentalna, na której dopiero wznosić się mogą dalsze.

Dlatego to wydaje mi się, że ideał wielkości nie może być zbyt radykalnie przeciwstawiany ideałowi człowieczeństwa, ale raczej powinien być z nim należycie sharmonizowany.

Poza powyższem przeciwstawieniem nasunęło mi się jednak przy czytaniu tego niezmiernie bogatego w treść artykułu inne jeszcze przeciwstawienie, bardziej psychologicznej natury. Odraza do przeciętności, pospolitości świadczy, że każdemu człowiekowi potrzebne jest do życia pewne poczucie własnej wartości. Otóż poczucie to miewa dwa

[1]) Stefan Szuman: „Krytyka ideału wielkości z punktu widzenia wychowaczego“, „Kwartalnik Pedagdgiczny“, 1930, № 4.

źródła. Człowiek wartościuje siebie w zależności od osądów (wyrażanych przeważnie przez zachowanie się) otoczenia — i według własnego, mniej lub więcej samodzielnie wytworzonego osądu osobistego. W rozwoju dziecka po okresie egocentrycznym następuje okres wrażliwości na opinje cudze, porównywania się z innymi, naśladowania wzorów, poczem dopiero dojść może jednostka do mniej lub więcej samodzielnej oceny wartości własnego „ja“, niezależnej od powierzchownych atrybutów, do ukształtowania sumienia, oceniającego własne postępki według norm, przyjętych przez siebie za słuszne. Całkowite uniezależnienie się jednostki od ocen cudzych nie jest ani możliwe, ani też społecznie pożądane, chodzi tylko o to, ażeby osądy, pochodzące z zewnątrz, były przerabiane na materjał dla osądu własnego, samorodnego, i ażeby osąd ten dotyczył samej istoty osobowości a nie cech posiadanych przypadkowo, niewytworzonych własną zasługą i wysiłkiem. Dojście do takiego stanu nie jest rzeczą łatwą i pospolitą. Dlatego też można tu mówić o pewnym ideale wychowawczym, który nazwałbym ideałem godności osobistej. Byłby to ideał możliwie daleko posuniętej niezawisłości w wartościowaniu swej istoty indywidualnej, niezależnie od posiadanych przez nią przypadkowych atrybutów, połączony z nakazem mówienia i postępowania zgodnie ze swem przekonaniem. Jest to bezwątpienia jedna z zasadniczych cech człowieczeństwa, którą winien posiadać zarówno każdy „nieznany obywatel“, jak i wybitny przywódca. To też z ideałem godności osobistej musi się łączyć postulat poszanowania godności osobistej każdej jednostki.

Wielu ludzi nie dochodzi do tego najwyższego, autonomicznego stadjum rozwoju osobowości, pozostając stale w stadjum zależności od otoczenia w ocenie swej wartości i nie mogąc wznieść się do uznawania cudzej godności ludzkiej.

Możnaby zebrać długie szeregi przykładów, dowodzących, w jak wielkim stopniu ludzie z wszelkich sfer społecznych pozostają w niewoli opinji i konwenansu w sprawach wartościowania siebie i swego postępowania. Ludzie jedzą, ubierają się, urządzają mieszkania, wypełniają swe czynności codzienne, obierają zawody, zawierają małżeństwa i t. d. bardzo często nie tyle ze względu na bezpośrednie cele tych funkcyj, ile na wartość, jaką one im nadają w oczach otoczenia. Rzekoma „żądza wiedzy“, która pcha młodzież do pewnych typów szkół, jest przeważnie dążeniem do zdobycia stanowiska społecznego, uchodzącego w opinji ogółu za godne szacunku. Chęć wywołania w otoczeniu podziwu, zazdrości, obawa przed oznakami lekceważenia, pragnienie rozgłosu swego nazwiska, są często decydującemi motywami postępowania. Świadczenie dobrodziejstw ma nieraz na celu głównie uzyskanie objawów wdzięczności, które służą do wzmożenia poczucia swej wyższości. Podobnie wszelkie wpływanie na losy innych ludzi, kierowanie nimi, rządzenie, które mogą być działaniem twórczem, stają się często tylko sposobami zaspokojenia nienasyconej ambicji, nie liczącej się z własnemi możliwościami. Wreszcie u typów zwyrodniałych można spotkać znęcanie się nad innymi, poniżanie ich i niszczenie owoców ich pracy dla sprawiania sobie zadowolenia.

J. Kucharzewski w obszernej swej pracy „Od białego caratu do czerwonego“ rozpatruje szczegółowo cechy psychiczne, wytworzone na gruncie despotyzmu carskiego, a które również zostały zużytkowane przez despotyzm czerwony. Z jednej strony, każdy poddany musiał uznawać za dobre to, co było zgodne z wolą jego zwierzchności — nietylko najwyższej, ale i bezpośrednio nad nim postawionej — za złe to, co się tej woli sprzeciwiło. Nawet buntujący się przeciwko despotycznej władzy rewolucjoniści rosyjscy nie byli w możności odmienić zasadniczo swego stosunku do władzy, stąd charakterystyczne przejścia od postawy zbuntowanego niewolnika do postawy kajającego się i wyznającego winy grzesznika, na które z naciskiem zwraca uwagę Kucharzewski, jako na znamienne przejawy duszy rosyjskiej. Z drugiej strony, również i przedstawiciele władzy despotycznej, będącej odblaskiem władzy najwyższej cara, a nawet i sam samodzierżca Rosji, ażeby wierzyć w swą wielkość, potrzebowali widzieć odbicie jej działania w zachowaniu się otoczenia, w oznakach czci i samoponiżania się, w pochlebstwach i hołdach — a także w objawach strachu na widok majestatu władzy, o czem drastyczne szczegóły opowiada Kucharzewski. Wszelkie manifestacje godności osobistej musiały naturalnie zasadniczo wywoływać wściekłość i chęć zdeptania zuchwalców, którzy poważali się czerpać poczucie własnej wartości z innego źródła, aniżeli z woli i łaski monarszej, którzy ośmielili się mówić o jakiemś prawie, jako najwyższej normie postępowania.

Świeżo odnowione wspomnienia historyczne z przed stu lat uprzytomniły nam głęboki konflikt, jaki zachodził między poczuciem godności osobistej, żywem wśród społeczeństwa polskiego, a despotyzmem ks. Konstantego. Konflikt ten był jednym z głównych powodów wybuchu powstania listopadowego. Jakkolwiek oceniać będziemy celowość tego wybuchu, fakt ten musimy uznać i przyjąć, jako naukę płynącą z historji.

Ideał godności osobistej nie jest ideałem indywidualistycznym. Przeciwstawiając się zasadzie władzy, opartej na samowoli jednostek, godzi się najzupełniej z zasadą prawa w życiu społecznem. Jednostki autonomiczne, o silnem poczuciu godności osobistej, mogą tworzyć społeczeństwa o wyższym stopniu spoistości, wolę zbiorową o wyższem napięciu, aniżeli jednostki, skupiające się pod wpływem czynników zewnętrznych. Struktura takich społeczeństw odpowiadać też może postulatowi, jaki w końcu swego artykułu stawia prof. Szuman: „Społeczeństwa nie wolno dzielić na wielkich i na masę — małych. Nie wolno przeceniać znaczenia pierwszych, a zamilczać wartości drugich. Nie można wciąż wskazywać na wielkich jako na właściwy ideał każdego człowieka. Masa, grupa, społeczeństwo, pospólstwo, nie jest zupełnie biernym elementem, który jedynie pod kierownictwem przywódcy idzie we właściwym kierunku. Twórczość społeczeństwa polega nietylko na tem, że wyłania ono z siebie od czasu do czasu mężów wybitnych, innych niż przeciętny członek masy. Społeczeństwo jako całość tworzy nowe prądy, niańczy bezwiednie nowe idee, posuwa się stale naprzód. Coprawda zwykle z pomocą wybitnych jednostek zmienia się i przeistacza i uświadamia sobie nurtujące w niem idee. W ludzie jednak przygotowuje się charakter i dzieło wielkiego męża, jednostka wybitna jest wyrazem wielu, a nie tylko siebie samej“.

F. KOZŁOWSKI

NAUKA I LITERATURA

GAWĘDY MYŚLIWEGO - POETY

(Ostatnie utwory J. Ejsmonda)

MIMO upajającego rytmu nowoczesnego życia, mimo usilnego kolportowania przez modne kierunki literackie haseł urbanistycznych, prawem naturalnej reakcji budzi się w sercach ludzkich żywiołowa tęsknota za powrotem do przyrody, za pełnem, swobodnem, prostem życiem na łonie natury. Tęsknota owa znalazła swój wyraz we współczesnej literaturze, notującej z sejsmograficzną dokładnością każdy znamienniejszy przejaw jednostkowego czy zbiorowego uczucia. Przeciwko propagandzie sztucznego, duszy polskiej obcego urbanizmu, kultu maszyny i materjalnej kultury wystąpili pisarze, głoszący pochwałę przyrody oraz widzący w bezpośredniem z nią obcowaniu niewyczerpane źródło twórczej energji i prawdziwej radości życia.

Do rzędu tego rodzaju pisarzy należał również zmarły niedawno wskutek tragicznego wypadku utalentowany poeta, bajkopisarz i autor zajmujących gawęd myśliwskich — Juljan Ejsmond. Zwrot do przyrody wypływał u Ejsmonda z głębokiego jej umiłowania, wynikającego z poufałego zżycia się z naturą, z poznania jej i odczucia. Przyroda stała się z czasem głównem źródłem natchnień twórczych młodego pisarza. W jednym ze swych pierwszych wierszy zawarł Ejsmond następujące, charakterystyczne pod tym względem wyznanie:

„Wszystko, co było w mych pieśniach
w drzew narodziło się śpiewie...
Z ziemi, rodzinnej ziemi
czerpałem swe natchnienie..."

Z umiłowaniem przyrody łączyła się u Ejsmonda nierozerwalnie—pasja łowiecka. Ona to zaprowadziła go w głąb puszczy, spowodowała zetknięcie się z jej mieszkańcami, ułatwiła spoufalenie się z tajemniczym światem leśnej przyrody. Na podłożu tych przeżyć począł się nowy dział twórczości Ejsmonda, dział gawęd myśliwskich, jak oto „Nosił wilk razy kilka", opowieści o dawnych lepszych czasach i „Wielkich łowach" czy też o „Zabobonach myśliwskich". Była w Ejsmondzie mieszanina „człowieka leśnego" i poety, strzelającego w zwierzynę, ale — zachwyconemi spojrzeniami, polującego z zapałem, ale raczej na piękne widoki, ciekawe spostrzeżenia i niezwykłe wrażenia. Owe zaś wyprawy myśliwskie, wielogodzinne wśród przedświtowych mgieł na tokujące głuszce zasadzki, cierpliwe na strzeleckiem stanowisku wyczekiwania odsłoniły przed oczami poety świat nowy, pełen czarów i dziwów, świat przyrody. A zaiste przemożny musiał być urok tego objawienia, kiedy z wielkomiejskiego *sportsmen*'a, z namiętnego tropiciela leśnych stworzeń, autor „W puszczy" przemienił się w głosiciela piękna natury, w przyjaciela mieszkańców kniei, w orędownika ich krzywd oraz epika ich bohaterskich żywotów. Myśliwego, niosącego w puszczę śmierć i zagładę, zwyciężył poeta. Przytem, kierując się sercem, potrafił Ejsmond również w zwierzętach odkryć „serce" i „duszę", zdolne nieraz do szlachetniejszych uczuć i dzielniejszych czynów, aniżeli serce i dusza niejednego człowieka. Tak zrodziła się pierwsza księga „W puszczy" z przedziwnie pięknemi i głęboko wzruszającemi „opowieściami o sercu zwierzęcem".

Dalszym ich ciągiem i niejako uzupełnieniem miała być niedawno wydana druga księga „W puszczy" z opowiadaniami o „Żywotach drzew" (Warsz. 1929. Nakład Gebethnera i Wolffa). O ile dotąd zajmował się Ejsmond głównie czworonożnymi czy skrzydlatymi mieszkańcami ostępów leśnych, ich fauną, o tyle tę drugą księgę poświęcił wyłącznie florze; dęby, sosny, brzózki, jawory i t. p. awansują na głównych bohaterów swych opowiadań. Z ośmiu zawartych w tym zbiorze opowieści, najładniejszą i najciekawszą jest „Tajemnica lipy", mająca charakter poetyckiej autobiografji. Z lipą tą bowiem, ocieniającą ongiś dworek rodzinny, wiążą się we wspomnieniu autora ważniejsze przeżycia z dzieciństwa i młodości. I jak sam Ejsmond powiada: „Miłość ku tej lipie — przyjaciółce nauczyła go kochać wszystkie inne drzewa. I lipa doradziła mu, aby opisał ich żywoty..." Tak powstała książka, którą mamy przed sobą i tak poczęły się te liryczne opowieści o duszy drzew, która wyraża się w ich szumie. Czego zaś dosłuchał się poeta w szumie umiłowanych przez siebie drzew, to zwierzył nam tutaj w tych poemacikach prozą, utkanych ze słów pięknych a cichych, pulsujących rzewnem, szczerem uczuciem. Jak bowiem z lipą rodzinną wiąże autora sentyment wspomnień z lat dzieciństwa i młodości, tak i z każdem innem opisanem tu drzewem łączy go jakaś więźba uczuć: to zachwytu dla królewskiej dumy i niepożytości dębu, czy miłości do biednej choinki, ze śmierci swej czyniącej ofiarę dla dziecięcej radości, to znów współczucia dla obalonego przez górski potok jaworu lub dla wyniosłej sosny, spalonej płomienną pieszczotą pioruna, to wreszcie podziwu dla strażniczki dróg polskich, pochyłej wierzby, odrodzeńczą siłą swych pędów uczącej wiary w nieśmiertelność i t. p. Z tego uczuciowego do przyrody stosunku wynika liryzm, przepajający całą książkę i warunkujący jej swoisty, nawskróś poetycki styl. Wprawdzie sam pomysł uczynienia z drzew bohaterów utworu o tyle już nie jest nowy, że Ejsmonda uprzedził pod tym względem A. Dygasiński w opowiadaniu (niestety nieskończonem) o „Dębach", jednakowoż nie wątpimy, że Ejsmondowi pomysł ten, zresztą zupełnie samodzielnie ujęty i szerzej rozwinięty, narzuciła nie lektura, lecz bezpośrednia znajomość i prawdziwe umiłowanie przyrody.

To odczucie przyrody przebija się również w pięknych Ejsmondowych krajobrazach, malowanych nieraz z niezwykłą, pastelową subtelnością i poczuciem malarskiem. Przebogatą galerję, prawdziwie pięknych, a coraz to innych, zawsze pełnych plastyki oraz żywych barw, krajobrazów znajdujemy w ostatniej pracy J. Ejsmonda p. t. „Moje przygody łowieckie" (Poznań 1930. Nakład Księg. św. Wojciecha), wydanej w ozdobnej, ilustrowanej rysunkami K. Mackiewicza edycji. Wśród obfitej literatury łowieckiej ta książka Ejsmonda zajmie niewątpliwie poczesne miejsce przez swe pierwszorzędne walory treści i formy. Zawarte tu opowiadania nie są jakiemiś fantastycznemi pomysłami czy wprost wymysłami powieściopisarza, ale autentycznemi relacjami z różnych, przeważnie „urzędowo-reprezentacyjnych" polowań (wszak Ejsmond był referentem od spraw łowieckich w Min. Rolnictwa) na wszelakiego rodzaju czworonożnych czy skrzydlatych mieszkańców naszych puszcz, lasów, pól, jezior, błot i t. d. Kolejno, według kalendarza myśliwskiego poznajemy emocjonujące wrażenia myśliwego-poety: to z zasadzek na głuszce i cietrzewie lub z wiosennego strzelania kaczorów, to z podchodzenia kozłów i jeleni, to znów z kopania borsuków lub wreszcie z zimowych wypraw na dziki, wilki i rysie itd. itd. A wszystkie te relacje ujęte są w formę niezwykle interesującej gawędy, czarującej przedewszystkiem urokiem poetyckiego na świat przyrody spojrzenia, jak niemniej bezpośredniością przeżyć oraz pogodnym humorem, którego prawdziwym klejnotem jest włączona do tekstu, świetna w ujęciu i pomyśle wierszowana bajka jak to: „Do Ministerstwa Rolnictwa i Państwowych Dóbr w delegacji od zwierząt przyszedł Żubr i Bóbr..." Pozatem styl gawęd Ejsmonda odznacza się nadzwyczajną żywością i potoczystą swadą, przy naturalnej, bezpretensjonalnej prostocie, niemniej oryginalnym języku o bogatem słownictwie i swoistym wyrazie, będącym udatnem połączeniem poetyckiego odczucia oraz dosadności gwary myśliwskiej.

Ostatnio nosił się Ejsmond z planem nowej pracy, poświęconej tym razem żywiołowi wodnemu. Miał to być rodzaj „Żywotów wód", w których autor chciał wyrazić

podsłuchane odgłosy polskich rzek, jezior i błot, które tak często bywały terenem jego wypraw myśliwskich, a do których poeta odnosił się, jak do kogoś żywego, bliskiego i ukochanego. Niestety, tragiczna śmierć, przerwawszy przedwcześnie pracowity żywot utalentowanego pisarza, nie pozwoliła mu już na zrealizowanie tych projektów.

RAJMUND BERGEL

RUCH WYDAWNICZY

Stefan Vrtel-Wierczyński wydał w „Lwowskiej Bibljotece Slawistycznej" (t. XII) „Wybór Tekstów Staropolskich. Czasy najdawniejsze do r. 1543". Lwów 1930: (Nakład K. S. Jakubowskiego. Str. XII + 368).

Jest to niezbędny podręcznik dla polonistów. Obejmuje zbiór tekstów staropolskich średniowiecza. Rozpoczyna się „Bullą z r. 1136", po niej następują zabytki językowe i literackie, podzielone na prozę i poezję, a ujęte w dwa główne działy: I. Rękopisy, II. Druki. Ogółem zawiera „Wybór" 58 tekstów, z których jedne przytoczono w całości, drugie w odpowiednich wyjątkach. Główny nacisk położono na zabytki najważniejsze, jak Psałterz, Biblja, Kazania, Apokryfy; zwrócono należytą uwagę na zabytki prawne, zawierające język i sprawy życia codziennego. Niektóre teksty po raz pierwszy ukazują się w druku.

Redakcja tekstów opiera się na oryginałach (rękopisach lub pierwodrukach), przyczem zachowane zostały dokładnie ich właściwości graficzne, językowe i literackie. Zmodernizowano tylko interpunkcję.

Zabytki zaopatrzone zostały w bibljografję, dotyczącą najważniejszych ich wydań oraz opracowań. Na końcu książki znajduje się Słownik wyrazów staropolskich.

*

Publiczność polska oddawna odczuwała brak i potrzebę podręcznika historji filozofji. Podręcznik napisany przez W. M. Kozłowskiego (1914) był dawno wyczerpany, późniejsze zaś próby miały przeważnie charakter zbyt popularny i nie nadawały się do pracy naukowej, zwłaszcza że nie liczyły się z wynikami najnowszej wiedzy. Niedokończonemi pozostały dzieje filozofji, napisane przez Straszewskiego; cenna zaś książka ks. Pawlickiego objęła jedynie filozofję grecką. Stąd to poszło, że nasza młodzież uniwersytecka — a także i ludzie starsi — musieli przeważnie swe wiadomości o historji filozofji czerpać z podręczników obcych, często tłumaczonych w sposób ciężki i niezbyt przystępny (dzieło Höffdinga, kompendjum Stöckla i Weingärtnera). To też cieszyć się należy, że mamy nareszcie podręcznik oryginalny i to w zupełności dostosowany do potrzeb, sposobu myślenia i ducha językowego Polaków.

Podręcznik tem, wydany przez Zakład Ossolińskich, nosi tytuł „Historja filozofji", a dzieli się na dwa tomy, z których pierwszy zawiera filozofję starożytną i średniowieczną, drugi zaś filozofję nowożytną. Autor, prof. uniw. warszawskiego Władysław Tatarkiewicz jest znany nietylko jako filozof, ale i jako autor dzieł z zakresu estetyki i historji sztuki. Estetę poznać w nim już z tego, że ozdobił dzieło swe wartościowemi ilustracjami, przedstawiającemi portrety filozofów według najlepszych rzeźb czy malowideł, żałować należy, że pomiędzy portretami temi pominął postać św. Augustyna z Rafaelowskiej *Disputa del Sacramento*. Portrety te nietylko upiększają książkę, ale nadto są cenne dla fizjognomisty, który z rysów i wyrazu twarzy wyczyta niejedną cechę umysłowości danego filozofa i zrozumie w ten sposób lepiej istotę jego nauki. Wykład prof. Tatarkiewicza celuje jasnością, przystępnością, często i polotem. Znać w nim wytrawnego dydaktyka, który w ciągu swej działalności prelegenckiej i podczas pracy ze słuchaczami w seminarjach umiał się wczuć w psychikę i potrzeby swego audytorjum. Celom dydaktycznym wybornie służą zestawienia i streszczenia, umieszczone na końcu każdego z rozdziałów. Czytelnika polskiego mile uderzy, że po raz pierwszy omówiono szeroko dzieje filozofji polskiej od Witelona i Głogowczyka aż do naszych czasów. Wiele miejsca poświęcono nietylko Śniadeckiemu, Cieszkowskiemu i Libeltowi, ale nawet dziełom mistycznym Słowackiego.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Daniel Rops, autor ciekawej książki z zakresu krytyki literackiej p. t. „*Notre Inquiétude*", o której pisaliśmy latem na łamach „M. Nar.", napisał tom nowel pod wspólnym tytułem: „*Deux hommes en moi*". Nowele, zdradzające dość silny wpływ Gide'a, stanowią niejako ilustrację poglądów wyrażonych w „*Notre Inquiétude*". Niepokój wewnętrzny, rozdwojenie osobowości, *acte gratuite*, silny wpływ podświadomości — na tem tle rozwija autor przeżycia swych bohaterów.

Pierwsza nowela „*Le vent dans la nuit*" — to epizod z życia dwuch inżynierów na wsi opodal od Grenoble. Ralph, irlandczyk z ojca a słowianin z matki — to człowiek energiczny, kochający życie, rozmiłowany w muzyce, zrównoważony, natura nieskomplikowana. Jean — to właśnie *l'homme inquiet* dręczony rozmaitemi przywidzeniami, w wiecznej rozterce z sobą, niezdolny — a raczej niechętny dla jakiejkolwiek decyzji. Jean zdaje się być uosobieniem łagodności, a jest w gruncie rzeczy tylko przeanalizowany, tak myśli o życiu, że zapomina żyć. Przełomowa dla Jean'a jest dyskusja pomiędzy nim a Ralphem, kiedy ten stanowczo oświadcza, że popełniłby bez wahania zbrodnię, gdyby się czuł ofiarą wewnętrznego rozdwojenia, zdanym na siły podświadome swego „ja". Utkwiło to głęboko w umyśle Jean'a. Tej samej nocy, gdy obaj wychodzą, by naprawić zepsuty kabel, spycha Jean Ralpha ze śliskiej drabiny na mostku rwącej rzeki. Ralph ginie. Jean nie zrozumiał, co uczynił — ale skrupuły nie trapiły go również: „Zbrodnia została popełniona na planie wyimaginowanym, anormalnym". Jedyny lęk, jaki odczuwa morderca, to ten, że mógłby wpaść w ręce sprawiedliwości. Nie doszło do tego. Rolę niepocieszonego przyjaciela grał znakomicie. Cel swój osiągnął, obudził w sobie nowego człowieka, który pamiętać musi, by tajemnicza śmierć przyjaciela nigdy nie wyszła na jaw.

Nowele: „*Master Jones*", „*Le prince Menteur*", „*La nuit du coeur flambant*" są według tej samej recepty: siła instynktu i podświadomości, podwojenie osobowości. Amatorowi psychologicznych dociekań, obserwatorowi patologji duszy sprawią nowele te napewno dużo satysfakcji.

*

„*Eva ou le Journal interrompu*" (Grasset édit.) jest przedewszystkiem psychologicznem studjum. Autor jego p. Jacques Chardonne, którego poprzednie utwory „*l'Epithalame*" i „*Les Varais*", spotkały się z ogólnem uznaniem sfer literackich, zajmuje się przedewszystkiem w „Ewie" zagadnieniem pożycia małżeńskiego. Dwoje istot — Bernard i Eva — dosyć szarych, takiż pędzą żywot. Jedno o drugiem powzięło mniemanie zgoła od rzeczywistości różne. Ale tylko Bernardowi zdawało się, że kochał swą żonę. Zdawało się, gdyż przyjdzie chwila, kiedy będzie musiał się przekonać, że ze strony tej ostatniej uczucia nie było. Eva bowiem, po ciężkiej chorobie w Szwajcarji, opuści Bernarda dla lekarza, który ją uchronił od śmierci, a uwolnił również od człowieka, dla którego żywiła niemal że odrazę fizyczną, a którą on brał tylko za... wstydliwość. P. Chardonne z dużą przenikliwością odmalował ten dramat nieporozumienia małżeńskiego, wysuwając cały szereg szczegółów na pozór tylko drugorzędnych, a dając mu za tło powszedniość życia. Nosi też on na sobie pewno piętno Gide'a, oraz pewną surowość niemal protestancką, a pozbawiony jest wszelkich nawet przebłysków jakiejkolwiek radości życia. Temat jednak ciekawy, zaś analiza uczuć oraz zaślepienia względem nich trafnie ujęta.

*

Armando Palacio Valdès, patrjarcha nowoczesnej literatury hiszpańskiej, cieszący się ogromną poczytnością i zdecydowanem uznaniem krytyki, kończy nową powieść, która się ukaże w końcu roku.

OD ADMINISTRACJI

Wobec zbliżającego się końca roku, raz jeszcze zwracamy się do czytelników i przyjaciół „Myśli Narodowej", którym byt i dalszy rozwój pisma nie jest obojętny, z usilną prośbą

1) O uregulowanie zaległości;
2) O wczesne zamówienie pisma na r. 1931;
3) O jednanie nowych prenumeratorów;
4) O nadsyłanie adresów osób, któreby chciały się z „Myślą Narodową" zaznajomić, a to celem przesłania im zeszytów okazowych.

Warunki prenumeraty podane są na stronicy ostatniej.

OFENSYWA

GRAECULI! Z POWROTEM!

MŁODZIEŻ narodowa w poznańskiej *Alma Mater* powinna nieco czujniejszą opieką otoczyć tamtejszą jaczejkę enkaenosko-krakauerską, która wabi się „Zrąb“.

Typowe słowo dla tych neofitów kulturalnych taki „zrąb“, z gatunku „zew“, „rozbudowa“, „nastawienie“, „podchody“, „mocarny“. Ten „Zrąb“ zorganizowali sobie w stolicy Wielkopolski misjonarze cywilizacji galicyjskiej, z głównie zachodniej Lodomerji — (Głodomerji), nakształceni półinteligenci, t. zw. wojenni „doktorzy“, przeważnie bakałarze, przyczynkarze, trzeciej sorty „spece“ i rezonujące o wszystkiem belfry. Tak Uniwersytet jak i gimnazja wielkopolskie dużo dostały z Małopolski sił naukowych świetnych, fachowych i pierwszorzędnych, ale dużo też z Krakowa i małych dziur podkrakowskich inteligenckiego proletarjatu, t. j. wygadanych a czasem nawet wyszczekanych blagierów i bluffistów, imponujących „Bertom“ i „Michalikiem“ tem, że znali osobiście albo córkę Tetmajera, albo brata Rydla, albo ciotkę jednego z najbliższych przyjaciół Wyspiańskiego...

Taka to kadrówka krakauerska „Zrąb“ (Ząb, Zupa, Zrąb. Ząb, Zupa, Zrąb)... urządza sobie tam w „*Café* Dobski“ „Żywe Dzienniki“ i tam się wygłupia „kulturalnie“ i imponuje tubylcom, kelnerom od Dobskiego i słuchaczkom z papierosami (sawantkom z Wildy i Chwaliszewa), tak zwanem po poznańsku „....doleniem“ o Rabindranath-Tagorem lub Jewreinowie (doktór Papée jest specjalistą od Jewreinowa, bo już o nim cztery „*essaye*“ berlińskie przestudjował). Poczem inny doktór Stradomski gada raz jeszcze o „Młodej Polsce“, inny „docent“ przeprowadza analogję między Kadenem a Norwidem, i jeszcze jakaś znakomitość domowa („światowej sławy uczony“) prof. dr. Groele, jakieś tam też rozwodzi trele, poczem popisuje się dowcipuszkami „wmieszkany“ humorysda, wreszcie jedna z brzydszejszych dziewic, w amerykańskich okularach, deklamuje wyświechtanego „Mochnackiego“ Lechonia (Tuwima, Wittlina, Sterna i Wata jeszcze się boją), wreszcie wspólny ryk spontaniczny Brygady, zaczyna się tak zwana z poznańska fidułka, z piwem i koniakiem Winckelhausena, podczas której meteki małopolskie natrząsają się z... gruboskórności zacofania, klerykalizmu, obskurantyzmu tych tępych Wielkopolan, których ostatecznie chleb jedzą i u których dach nad głową znaleźli! Sam pan Papéte „prowadzi tam bal“, co zaś najzabawniejsze w tem, o to, że tym bakałarzom i bakałazikom, tym belfrom i belfrzakom, tym ex-prymusom, którzy wszyscy zdali maturę „*sub auspiciis Irigatoris*“ wydaje się całkiem serjo, że są jedyną „solą ziemi“ wielkopolskiej, oazą rafinady intelektualnej na pustyni i puszczy, że są Ateńczykami w Analfabeocji, Paryżaninami w Wandei, że są wogóle czemś, że są *quantité*, że nie są plewami nawianemi przez wichurę dziejową a ziarnem gorczycznem czy plennem nasieniem...

Jest już czas, aby inteligentna młodzież narodowa w Poznaniu cokolwiek zaopiekowała się i tym „Zrębem“ (Zrąb, Zupa, Dąb....). Nie będzie Papée pluł wam w twarz i panny wam tumanił. Zanadto się to bractwo galilejskie rozpasało tam u Dobskiego. Nie pamiętamy, żeby który z tych doktorów zajrzał tam do Poznania wtedy, kiedy jeszcze byli Prusacy i kiedy bywało niebezpiecznie. Ani Warszawy ani Poznania nie znali przed 1914-tym. Tylko „Wiedeń“, Mekka i Medyna. Odkąd dopiero są p o s a d y, tam wszędzie potworzyły się o s a d y przemądrzalskich „Irlandczyków“, „Piemontczyków“, „Gaskończyków“ z zachodniej „Lodomerry“. I odrazu za łeb autochtonów. W wojsku, w administracji, w szkolnictwie, w prasie, w literaturze. I odrazu „aryjskie żydy“ trzymają „sztamę“ z semickimi żydami, protegują ich wprowadzają. I odrazu propaganda „Kurjerka“, karjerkowiczostwa, serwilizmu, ugodowości na wszystkie boki i strony, kompromisów ze wszystkiem, co dysponuje władzą, kasą, dobrze zaopatrzonym bufetem i piwnicą. Na Pomorzu zaczęli ostentacyjnie bywać we dworach i domach niemieckich junkrów, w Łodzi odrazu stali się pieczeniarzami bogatych fabrykantów, w Warszawie wywąchiwali gdzie bogate żydówki na marjaż (tak zwane „gwiżdże“), na Kresach wschodnich zaczęli ostentacyjnie fraternizować z tymi „Moskalami“, co jeszcze zostali z jaką taką gotówką. Wszędzie i zawsze „jak u siebie“, wszędzie pierwsi, wkręcający się to frontem to tyłem, Sikorszczycy jak Sikorski był premjerem, Piłsudczycy gdy Piłsudski, Witosowcy, gdyby Witos wrócił, ale gotowi i cokolwiek komunizować, gdyby się coś gdzieś zaczęło...

Tacy są *Graeculi!*

I teraz żart na bok.

Mówi się to i pisze całkiem serjo i już bez złośliwości, z najgłębszego, najpoważniejszego przekonania, doświadczenia, przemyślenia („bo smutny i sam pełen winy?“). Musi się zacząć ruch wsteczny, ruch zwrotny. *Graeculi* z powrotem do Grecji. Są solą ziemi polskiej, ale Polska jest przesolona „*mentalita lodomerica*“. Ci, co się zasymilowali dzielnicowo, ci co nie frondują i nie sabotują, ci co są na serjo narodowo pozytywni i państwowo konstruktywni, powinni zostać w naturalnym logicznym procencie, aby się polskość przemieszała ale nie zanadto, aby regjonalne rysy nie zaniknęły. Bretończycy zostali Bretończykami, Szkoci Szkotami, Bawarczycy Bawarczykami. Nadmiar, nadwyżka, lichwiarski procent „wmieszkanych“ dzielnicowych meteków winien jednak reemigrować z powrotem do rodzinnych pieleszy. Swoje zrobili, „cywilizację austrjacką“ po całej Polsce roznieśli i „zapflancowali“, jako intelektualne drożdże mają nawet swoje zasługi, jako specjaliści w organizanizacji, administracji, sądownictwa, pedagogji i t. p. do „rozbudowy“ „zrębów“ państwowości przyczynili się dużo. Mogą odejść w spokoju. W kulturze charakterów obywatelskich atoli okazali się, według mego zdania, wysoce negatywni i szkodliwi. Roznieśli bowiem po Polsce miazmaty Stańczykowskiego „światopoglądu“, lojalizmu doprowadzonego do lokajstwa, „niesprzeciwiania się złu“, „*schwamdrüber*“, „*fortwursteln*“, karjery za wszelką cenę, powierzchownej, płytkiej kulturki literackiej, podlizywania się każdorazowemu naczalstwu i każdorazowej okupacji.

Taki *echt-krakauer* będzie pół godziny gadał wszystko, co wyczytał o Gaudhim lub Grandim na to tylko, żeby za tę grandi-elokwencję naciągnąć olśnionego rodaka-barbarzyńcę na 25 złociszów...

Obserwowanie na warszawskim, stołecznym gruncie tych wszystkich Kadenów, Byrków, Gwiżdżów i t. p., tych nieprzeliczonych szeregów starostów, wojewodów, generałów, dyplomatów, literatów, dyrektorów, redaktorów, „szarych eminencyj“ ministerjalnych i „niebieskich ptaków“ prasowych, od lat dziesięciu, od pierwszej „inwazji“, od pierwszych „plombowanych wagonów“, któremi zjeżdżali stadowo z biednej, wynędzniałej do ostateczności... Gaskonji, doprowadziło niżej podpisanego do najgłębiej poważnego poglądu, że po dziesięciu latach istnienia państwa musi się zacząć ruch zwrotny, ruch wsteczny, reemigracja, o ile to całe mocarstwo nie ma być li tylko „*Greather Galicia*“, Badeniosko-Bobrzyńsko-Bilińska kraina rozpanoszonej nędzy, blagi i pseudo-wielkopańskiej wielkopaństwowej megalomanji.

Wschodnia Małopolska więdnie i ginie, pozbawiana twórczej, aktywnej inteligencji, Wołyń woła o kulturalny „nawóz“; na Wileńszczyźnie brak nauczycieli: praeceptorów i konstruktorów. Zachodnie kresy, Pomorze, G. Śląsk i Wielkopolskę zaś, uginające się moralnie, przeładowane „*kulturträger*'ami“ z Krakowa i okolic trzeba odciążyć.

Inicjatywa tej istotnej sanacji winna wyjść z Poznania, który dziesięć lat temu ratował Małopolskę, wysyłając tam chleb, ziemniaki i wojsko z prawdziwego zdarzenia, dywizje jak się patrzy.

Teraz zaś może Wschodnią Małopolskę ratować, wysyłając tam nadwyżkę inteligencji, powiedzmy sobie: pierwszą Kadrówkę..., powiedzmy sobie tych... *Pappén heimerów.*

Zacząć się może wielki ruch regeneracyjny i od rzeczy błahych i drobnych.

Narodowej młodzieży Uniwersytetu poznańskiego zwracamy uwagę na jaczejkę *Graeculów*: „Zrąb“.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Podobno... dla zaznaczenia obecnej harmonji i współpracy pomiędzy władzą ustawodawczą i wykonawczą, harmonji, wytworzonej wskutek ostatnich — pierwszych „normalnych“, jak się wyraziła oficjalna „Gazeta Polska“ — wyborów, dawniejszy napis u stropu sali sejmowej „*Salus Reipublicae suprema lex*“, ma zostać teraz zastąpiony przez nowy, lepiej o wiele odpowiadający dzisiejszemu położeniu: „Ręka rękę myje“...

*

Klub parlamentarny Chrześcijańskiej Demokracji jest jedynym klubem opozycyjnym, którego prezes (więzień brzeski, senator Wojciech Korfanty) dotychczas jeszcze nie opuścił murów więzienia. Klub parlamentarny Chrześcijańskiej Demokracji jest także jedynym klubem „opozycyjnym“, z którego ramienia „kilku parlamentarzystów“ wzięło udział w raucie u p. Prezydenta Rzeczypospolitej, ponieważ wszystkie pozostałe kluby opozycyjne postanowiły — w wytworzonych obecnie warunkach — nie skorzystać z nadesłanych im zaproszeń. Ciekawe, o czem też mogli rozmawiać członkowie klubu Chrz. Dem. podczas „miłej, towarzyskiej pogawędki“ na raucie?.. Zapewne o stanie zdrowia swego prezesa?..

I ciekawe, jak długo wogóle będzie trwał taki niepoważny stan rzeczy?



Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.